

Stefan Orycki

Zachodni mit powszechnego dobrobytu

Z paszтетem to było tak: pełen przedsiębiorczości właściciel restauracji reklamował w swym zakładzie ów produkt, jako paszтет zająco-koński. Zapytany o szczegóły receptury, miał pono odpowiedzieć: — Proporcje są w pełni prawidłowe: jeden zając, jeden koń.

Ta, z pewnością ograna anegdota nasuwa się mimo woli przy lekturze amerykańskich baśni o „wyrównywaniu dochodów”. Wyrównywanie to bowiem przeprowadza się „głównie w sferze statystyki na zasadzie „paszтетowej” reguły: 1 bogacz, i szary obywatel; przeciętnie obu powodzi się doskonale. Jeśli przy tym uruchomi się aparat propagandowo-reklamowy, przy którego potęgze i możliwościach mistrz Goebbels musiałby się znać malutkim — można nie dziwić się, że echa amerykańskich sloganów o „rewolucji w dochodach”, „spłaszczeniu różnic”, „rewolucji społecznej”, „wyrównywaniu dochodów”, czy „społeczeństwie obfitości”, docierają nawet do nas.

Społeczeństwo obfitości. Slogan ten puścił w obiegu amerykański ekonomista — J. Galbraith. Wysoki poziom sił wytwórczych Stanów Zjednoczonych AP i znaczne rozmiary nagromadzonego przez nie majątku narodowego, interpretuje się jako oznakę powszechnego dobrobytu, z którego jakoby korzysta cała ludność. „Jednakże choćby teorię tę powtarzano w nieskończoność, nie da się ukryć faktu, że istnieje również druga Ameryka. Jest to Ameryka 40—50 milionów ludzi, którzy nie posiadali niczego i dotychczas są biedakami”.

Kto to powiedział? Chruszczow? Może inny z przywódców partii komunistycznych, czy robotniczych? Może któryś z działaczy Komunistycznej Partii USA? Nie. Cytat ów pochodzi z książki amerykańskiego, niemarksiowskiego ekonomisty M. Harringtona, opublikowanej w ubiegłym roku w Nowym Jorku pod tytułem „The other America” („Inna Ameryka”).

Pozwólcie, że przytoczę z tej książki nieco danych. Zaczniemy od zasiłków dla bezrobotnych. Wynoszą one jedną trzecią zarobku, ale prawo do nich — jak wynika z książki Harringtona — przysługują tylko połowie bezrobotnych; piącone są przy tym tylko przez ściśle określony czas, w rezultacie rośnie liczba osób, pozbawionych uprawnień do wsparcia. „Jeśli bezrobotnym mimo wszystko udaje się wyżyć — pisze dosłownie Harrington — nie jest to bynajmniej zasługą rządu.”

Renty starcze przysługują w USA kobietom od 62, a mężczyznom od 65 roku życia. Jednakże obejmują one nie więcej niż 66 do 75 procent starszej ludności, przy czym najmniej zarabiający objęci są rentami w najmniejszym stopniu (tylko 1/3). Reasumując, sytuacja emerytów w kraju, zaliczającym się do najbogatszych na świecie, jest ciężka. Badania Senatu amerykańskiego w roku 1960 wykazały, iż co najmniej połowa obywateli w wieku emerytalnym, a więc około 8 milionów ludzi, nie może zapewnić sobie odpowiedniego wyżywienia, mieszkania i opieki lekarskiej.

Politykę mieszkaniową USA określa Harrington, jako „socjalizm dla bogatych i wolną inicjatywę dla biedaków”, po czym przytacza dane amerykańskie z roku 1960: uznano wówczas 15,6 miliona jednostek mieszkalnych (na ogólną liczbę 58 milionów jednostek), za nie odpowiadające niezbędnym wymogom technicznym i sanitarnym.

A jak wygląda opieka lekarska, naturalnie ta, z której mogliby korzystać przeciętni śmiertelnicy? Harrington podaje, że opłaty za usługi lekarskie wzrosły w ostatnich latach o 36 procent, a za pobyt w szpitalach o 65 procent.

„Pielgrzymami nędzy” nazywa cytowany autor amerykańskich robotników rolnych, oceniając ich liczbę na 2 miliony. Nieróżowy bywa tak-

Dokończenie na str. 2

Józef Pieprzyk

Luki w archiwum

Do Archiwum Państwowego Miasta Poznania i Województwa Poznańskiego nadeszły już pierwsze powojenne akta. Zdawałoby się, że okres gromadzenia dokumentów do ostatniej wojny został już zamknięty i że nie stoi na przeszkodzie, by nowy okres został zapoczątkowany systematycznym napływem materiałów z terenu Poznania i województwa. Niestety, tak nie jest; nie wina w tym załogi Archiwum poznańskiego ani jego filii w Lesznie, Kaliszu, Gnieźnie, Kole i Koninie. Niektóre instytucje i władze powiatowe oraz miejskie nie respektują Rozporządzenia Rady Ministrów z 29 lutego 1957 r. w sprawie państwowego zasobu archiwalnego i Zarządzenia Naczelnego Dyrektora Archiwów Państwowych z 14 sierpnia 1958 roku. Przepisy te mówią, że dokumenty powinny po 10 latach powędrować do Archiwum Państwowego, gdzie znajdują właściwą opiekę.

Do tej pory do Archiwum nadeszły akta podworskie, niektórych powojennych starostw, Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy, Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych, Wojewódzkiego Urzędu Repatriacyjnego, Polskiego Związku Zachodniego, Izby Przemysłowo-Handlowej, akta zlikwidowanych urzędów gminnych. Prócz tego w Archiwum znalazły się akta sądowe do r. 1956, komisji specjalnej do walki z nadużyciami (do 1955 r.), akta komisji wyborczych (do r. 1958), akta niektórych banków i Związku Inwalidów Wojennych. Jak z tego rejestru wynika, o Archiwum w wielu przypadkach przypomina się dopiero wtenczas, kiedy dana instytucja ulega likwidacji i coś trzeba zrobić z nagromadzonymi aktami.

Nie można tu nie wspomnieć o przekazaniu przez Armię Radziecką dokumentów polskich, które Niemcy zabrali na swój teren. Dzięki temu Archiwum wzbogaciło się o bardzo cenne akta z okresu od XII w. (dokument Zbiluta) do ostatnich lat przedwojennych.

Natomiast jest jeszcze długa lista instytucji, które nie spełniły swojego obowiązku. Przyjął WRN nie przekazało dokumentów Urzędu Wojewódzkiego i Kuratorium Okręgu Szkolnego z lat 1945—1950, 13 powiatów: Chodzież, Czarnków, Gostyń, Jarocin, Koło, Kościan, Leszno, Rawicz, Szamotuły, Środa, Turek, Wągrowiec i Wolsztyn — nie oddało akt starostw. Prezydium PRN w Chodzieży unika oddania akt gminnych. Poza tym 17 miast trzyma u siebie dokumenty z XIX w. Są to: Buk, Grodzisk, Jarocin, Kostrzyn, Koźmin, Lwówek, Mosina, Oborniki, Ostroróg, Pleszew, Pobiedziska, Poiniec, Skoki, Środa (akta z XVIII w.), Wągrowiec, Wronki i Zbąszyń. Prezydium Rady Narodowej m. Poznania akta złożyło w nieodpowiednich pomieszczeniach na peryferiach.

W Archiwum Państwowym istnieje więc poważna luka, nie ma całości istniejących dokumentów. Nie ma też pewności, że rozproszone do-

kumenty są właściwie zabezpieczone. O ile dawne pergaminy jakoś przetrzymują wieki, chociaż i im grozi poważne niebezpieczeństwo, o tyle nowsze w nieodpowiednich warunkach mogą łatwo ulec zniszczeniu. Jeśli chodzi o powojenne dokumenty grozi im poniewierka po strychach, a także niejeden zamierzony lub niezamierzony ubytek.

Prawda, że nie wszystkie akta trzeba przechowywać. Jest to niemożliwe, zajęłyby w ciągu roku cały poznański gmach Archiwum przy pl. Wielkopolskim. Stąd potrzebna selekcja dokumentów, ale tylko za zgodą Archiwum. W ubiegłym roku 1000 ton nie przedstawiających wartości papierów przekazano na makulaturę. Archiwiści od czasu do czasu zaglądają do różnych instytucji kontrolując sposób przechowywania akt, służą radą, ale nie mogą dotrzeć wszędzie; instytucji i zakładów pracy jest wiele tysięcy, a archiwistów zaledwie 15 na całą Wielkopolskę. Stąd na kierownikach instytucji i zakładów pracy spoczywa opieka nad dokumentami, a na każdym urzędniku, pracowniku umysłowym dbałość o solidne wykonanie każdego dokumentu, który może stać się jedynym przez setki lat śladem działalności.

Jak niepokoi przekazywanie dokumentów do Archiwum, tak samo niepokoić musi sprawa pomieszczeń filii Archiwum na terenie województwa. W Koninie zbiory gromadzi się w sklepiku, który już nie może przyjmować dalszych akt. W Lesznie filia znajduje się w wilgotnej salce, z której cenniejsze materiały trzeba było przekazać do Poznania. Czy nie można w tym mieście znaleźć lepszego lokalu?

Jedna i druga sprawa przybiera na znaczeniu. Przemiany społeczno-gospodarcze wymagają coraz więcej dokumentów, dokumenty te dla badacza naszych dziejów co roku przedstawiać będą coraz większą wartość, tym bardziej, że okres ten już wchodzi na warsztat historyków. Zbliży się przecież 20-lecie naszej ludowej państwowości. Do tego okresu w latach i wiekach późniejszych zawsze się będzie wracać. Stąd nie tylko obowiązek respektowania przepisów państwowych w tym zakresie, ale osobisty obowiązek kierowników zakładów i instytucji wobec nauki. I nie tylko wobec nauki. Do Archiwów bowiem zwraca się wielu ludzi po odpisy różnych potrzebnych im dokumentów. Braki i niedostatki mogą być przyczyną skomplikowanej „kołomyjki” poszukiwań. I o tym trzeba także pamiętać, gdyż klientem Archiwum może być każdy z nas.

Ryszard Danecki

Ilustr. Ewa Pruska

Tryptyk

1. NAJZIELEŃSZE

Z tarczy słonecznej wypadają włócznie złote,
ich łot skośny przeszywa miękka ciemność przestrzeni
bezwietrznej —
możesz powiedzieć: po co?

Albo drganie wysokie struny stalowej skrzypiec,
kołczykami dźwięków łagodnych kołysze się przy uchu?

Dlaczego chrapy sarnie mają połysk aksamitu,

truteń ocieżyły szybuje za pszczolą
w żar niebieski na opalenie skrzydeł,

a profesor gramatyki starostwian-
skiej w podkutych butach się
wdrapuje na szczyt bezładny
Hindukuszu?

Jak odpowiedzieć na to najzieleńsze:

po co
jutro znowu
widzieć muszę

ciebie — ikonę oprawną w dymy
i druty ulic?



Zygmunt Wrzosko

DZIEŃ NASZEJ PANI

Pani Elżbieta jest nauczycielką Waszych dzieci. Znać ją więc z wiadomości albo ze spotkań w szkole, gdy Krzys lub Zosia coś przeszkrobią. Czasem zrymować się, że jest zbyt wymagająca. Może pragnęlibyście, aby Waszą pociechę jakoś wyróżniała, częściej pochwalała. A ona zwraca tylko uwagę, że trzeba u Krzysia zwałzać takie to a takie wady. Dostrzeże w zeszycie każdy błąd i zamiast tak miłe widzianej przez dziecko i rodzica piątki, stawia często czwórki, trójki.

A może się Wam tylko wydaje, że znać panią Waszych dzieci? Spróbujcie więc poznać ją jeszcze lepiej, jej codzienną pracę, troski i radości. Z pewnością przyda się to, bo ona przecież nie tylko uczy, ale również wychowuje Wasze pociechy.

Pani Elżbieta wyskakuje z pościeli, gdy zegar bije 6.30. Budzi Januska i Emilkę, zachęcając ich do pospiechu w myciu, ubieraniu. Przygotowuje śniadanie domowe i szkolne, sprawdza tornistry.

O 7.30 cała trójka wędruje do szkoły. Po drodze nie szczędzi przestroż, by dzieci były grzeczne i nie robiły mamusi przykrości. Bo na dzieci nauczycielskie patrzy się w szczególny sposób. Myśli przy tym, jaki też będzie dzień, z czym wyskoczy dziś Tomek, czy nie zrobi znow komuś krzywdy.

Nasza wspólna znajoma zjawia się wśród rozkrzyczanej czeredy czterdziestu kilku malców z I klasy. Milkną rozbawione głosy, dzieci zajmują miejsca. Tylko Tomek ani myśli się uspokoić. Stroi głupie miny, poszturchuje Izę, coś jej już spocił, bo zaczyna płakać. Wtórkuje mu Celina — dziecko o nadmiernej pobudliwości, z trudem hamujące odruchy.

Tomek lubi prowokować. Na uwagi odpowiada hardo: „a ja nie zrobię”, „mnie się nie chce”, „co mi pani robi”. Pani Elżbieta stara się jak może o zachowanie równowagi ducha. Podnoszenie głosu nic tu nie pomoże, a zdenerwowanie oznacza klęskę. Spokojny lecz stanowczy ton, to jedyna metoda wobec Tomka. Może by się i gniewała, ale pamięta, że to dziecko nieszczeniwe, bez ojca, pozbawione w domu należytej opieki. Tomek ma daleko posuniętą nerwicę, jest trochę opóźniony w rozwoju umysłowym i wymaga specjalnej troski. Tylko jak mu ją zapewnić przy tak licznej gromadzie? Matka znow na list nie odpowiedziała. Trzeba będzie złożyć jej wizytę w domu. Dziecko musi przecież być niezwłocznie poddane leczeniu.

A jednak ta ruchliwa czereda raduje serce nauczycielki. Dopiero dwa miesiące minęło od chwili, gdy dzieci po raz pierwszy zasiadły w ławkach. Były wyekłonne, nieśmiałe, bezradne. Teraz tworzą już zorganizowaną społeczność klasową. Zaczynają pisać, rachować, a przede wszystkim myśleć, spostrzegać związki między rzeczami, formułować samodzielne zdania.

Dzisiaj tematem lekcji będzie zastosowanie litery „k”. Oczywiście „k” jak kot. Nie myśleć, dorośli ludzie o krótkiej pamięci, że to takie proste. Lekcję trzeba było starannie przygotować, niemal wyreżyserować. Od atrakcyjności przeprowadzenia zależą przecież jej efekty. A więc jeden kot na dużym obrazku i kilka małych kotków — wycianek. Ten duży posłuży do swobodnych wypowiedzi dzieci, a te małe do liczenia. Bo pani Elżbieta jest zwolenniczką nowej metody nauczania łącznego. Temat „kotek” posłuży więc zarówno do języka polskiego, jak i do rachunków, prac ręcznych, gimnastyki, śpiewu. Metoda to nietatwa, wymagająca od nauczyciela dużego wysiłku, zdolności do improwizacji. Ale jak żadna inna kształci wyobraźnię, uczy samodzielnego myślenia. Oto Iza patrząc na obrazek, mówi, że „Adelka nie zapomniała o głodnym kotku i niesie mu pełną miskę smacznego mleka”. Dzieci pochłonięte są różnorodnymi zajęciami. Nawet Tomek zapomina na chwilę o swoich wyskokach.

Pracowite lekcje przerywa co 45 minut głos dzwonka. Wtedy cała gromada wysypuje się z klasy na korytarz. Tomka nie można jednak ani na chwilę spuścić z oczu.

Nareszcie na dzisiaj koniec z lekcjami. Janusz i Emilka czekają już na mamusię i nasza znajoma trójka wraca do domu. Na naszą panią czeka mnóstwo pracy domowej: sprzątanie, gotowanie, pranie, pomoc dzieciom w odrabianiu lekcji.

Po godzinie 20, gdy Janusz i Emilka idą spać, pani Elżbieta zabiera się do poprawiania zeszytów i kartek z zadaniami. Trzeba też przygotować jutrzejsze lekcje.

Jutro pierwszaki mają poznać literę „j”. Zastosuje ją w wyrazie „kolej”. Oczywiście musi być znow obrazek. Dzieci muszą zobaczyć różne rodzaje wagonów: osobowe, towarowe, cysterny, wagon-łodówkę, wóz pocztowy. Wówczas będzie można naprowadzać pytaniami, co kolej przewozi. Szczególnie trzeba uwypuklić lokomotywę, jej duże koła i tłoki buchające parą. Może któreś dziecko samo skojarzy ze sobą dwie nazwy: lokomotywa i parowóz. Wówczas wkroczy do akcji Tuwim ze słowami pięknego wiersza: „Stoi na stacji lokomotywa”. Działanie poezji powinno spłatać się z fantazją dziecka, a środki artystycznego wyrazu posłużyć do bogatszego poznania. Potem sklei wraz z dziećmi kartonowe wagoniki. Trzeba to teraz wypraktykować, aby na lekcji szło pewnie i sprawnie.

Zegar wybija północ. Żeby tylko jutro nie zasnąć...

Dla was:

syn, uczeń, pasażer, mąż, zawodnik, ojciec, klient, poeta, turysta, kochanek, wujek, lokator, pacjent —

coś mi z siebie
dla siebie pozostaje?

3. GŁODY

Widok — jakby powiedział kapral

Zmudziński —
tej lekko usmiechniętej głowy,
której głuchotę ochrania
wypukła szyba oranżowego
mercedesa —

budzi głód sprawiedliwości

Codziennie siódma pięć miedzianego
pajaka dzwonięcie,
codziennie osma zero zero w atramentową klatkę siebięwpisywanie,
codziennie piętnasta trzydzieści szczerbatych ust portiera oglądanie,
codziennie dwudziesta pierwsza wiadomości z kraju i ze świata
słuchanie —

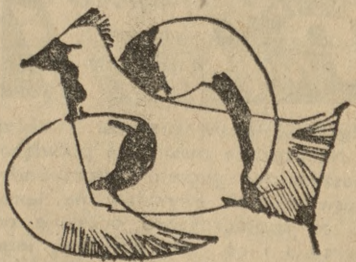
budzi głód odmiany

Połykliwość czarnego wodotrysku włosów dziewczęcych,
w którym się nurza mewa biała dłoni —

budzi głód miłości —

poezja rodzi się tylko z głodu

Utwór ten otrzymał III nagrodę w tegorocznym, ogólnopolskim konkursie o „Czerwoną różę”, poezji społecznie zaangażowanej.



Pracownik katedry materializmu dialektycznego i historycznego Uralskiego Uniwersytetu Państwowego — M. N. Rutkiewicz zamieścił w numerze 5 dwumiesięcznika „Filosofskie nauki” studium socjologiczne na temat: „Zacieranie różnic klasowych, a miejsce inteligencji w strukturze społeczeństwa radzieckiego”. Poniżej zamieszczamy omówienie tej interesującej pracy.

Miejsce inteligencji w społeczeństwie ZSRR

Rutkiewicz rozpatruje omawiany problem na tle ogólnych zmian strukturalnych w społeczeństwie radzieckim. Oto jak wyglądają zmiany w klasowym składzie ludności ZSRR w latach 1939 do 1961.

	Rok 1939	Rok 1961
Robotnicy i pracownicy umysłowi	50,2 procent	71,8 procent
Chłostwo kolchozowe i rzemieślnicy spółdzielcy	47,2 procent	28 procent
Chłop gospodarujący indywidualnie i samodzielni rzemieślnicy	2,6 procent	0,2 procent

W zestawieniu tym nie wyodrębniono inteligencji, która mieści się w dwóch pierwszych grupach. Autor publikacji zajął się analizą istotnych cech procesu zbliżania się inteligencji i klasy robotniczej w mieście. Zaznacza on, że podobne procesy, wymagające jednak specjalnych badań, zachodzą także na wsi.

„Pojęcie inteligencji — pisze autor artykułu — obejmuje zazwyczaj bardzo szeroką warstwę społeczną złożoną z osób trudniących się zawodowo pracą umysłową. Granica oddzielająca pracowników umysłowych od pracowników fizycznych jest już obecnie bardzo płynna, co nastrocza statystyce duże trudności. Przedstawiciele zawodów związanych z pracą umysłową z reguły piszą w rubryce „pochodzenie społeczne”: „pracownik umysłowy”. Zgodnie z tradycją kategoria „pracownik umysłowy” obejmuje ludzi zatrudnionych w przedsiębiorstwach i instytucjach państwowych (a także w aparacie organizacyjnym społecznym — partii, związków zawodowych, Komсомолu, stowarzyszeń sportowych itd.), którzy nie są robotnikami, czyli ludźmi trudniącymi się przeważnie pracą fizyczną. Jednakże pod

względem podstawowej cechy klasowej — stosunku do środków produkcji — radzieccy pracownicy umysłowi niczym się nie różnią od robotników, ponieważ korzystają z takich samych jak oni praw w stosunku do własności państwowej, ogólnonarodowej”.

Zmiany proporcji

Rutkiewicz stwierdza, że zbliżenie klasy robotniczej (także chłopstwa) z inteligencją odbywa się w warunkach stosunkowo szybkiego wzrostu inteligencji, którą zasilają przede wszystkim robotnicy i chłopci, młodzież robotnicza i chłopska. Proces zacierania różnic między klasą robotniczą a inteligencją odbywa się przy tym w warunkach stale zmniejszającej się proporcji między pracownikami fizycznymi a umysłowymi.

„W okresie od 1939 do 1959 roku — pisze Rutkiewicz — udział zawodowo czynnej ludności, zatrudnionej w gałęziach nieprodukcyjnych zwiększył się z 10,1 proc. do 14,6 proc. Prawie cały ten przyrost przypada na oświatę, służbę zdrowia i naukę. Jeżeli przyjmiemy dane z 1939 roku za 100, to liczba pracowników służby zdrowia wynosiła w

1959 roku — 276, a nauczycieli i pracowników nauki — 183.”

Czy odrębna grupa społeczna?

Czy można traktować inteligencję jako grupę społeczną, znajdującą się w odrębnej, innej niż klasa robotnicza sytuacji w sferze podziału produktu społecznego? Autor odpowiada na to pytanie przecząco, stwierdzając, że przy stosowanej w socjalizmie zasadzie wynagrodzenia według wkładu i jakości pracy nie może być mowy o żadnych przywilejach inteligencji w stosunku do całej klasy robotniczej.

„Przeciętne dochody pracowników umysłowych — niespecjalistów — czytamy — są nieco niższe od dochodów wykwalifikowanych robotników przemysłowych i budowlanych. Jak wiadomo, płaca wykwalifikowanego robotnika nie jest niższa od płacy technika. Płaca wykwalifikowanego robotnika, zwłaszcza w kluczowych gałęziach produkcji, jest wyższa niż płaca pielęgnarki, pracownika biurowego, nauczyciela szkół podstawowych i innych specjalistów mających średnie wykształcenie i zatrudnionych w sferze nieprodukcyjnej. I wreszcie, płaca wykwalifikowanego robotnika w wielu gałęziach przemysłu nie jest niższa od płacy pracowników z wyższym wykształceniem, zatrudnionych w sferze usług. Część inżynierów również nie znajduje się w uprzywilejowanej sytuacji materialnej w stosunku do wykwalifikowanych robotników”.

Miejsce w społecznym podziale pracy

Czy różnica między pracą inteligencji i robotników ma w ZSRR charakter społeczny? Odpowiadając na to pytanie, Rutkiewicz pisze:

„W miarę rozwoju demokracji socjalistycznej, w miarę wciągania coraz szerszych mas do zarządzania produkcją i innymi dziedzinami życia, funkcje administracyjne w coraz mniejszym stopniu stają się sprawą samych tylko kierowników i organizatorów”.

„Już obecnie przeważająca większość inteligencji występuje nie tylko w roli kierowników i organizatorów, lecz należy do kategorii wykwalifikowanych pracowników umysłowych, którzy różnią się od robotnika jedynie inną proporcją wysiłku umysłowego i fizycznego w procesie pracy. Tak więc, możemy obecnie stwierdzić, że taka cecha jak odrębne miejsce w społecznej organizacji pracy — w sensie podziału na organizatorów i wykonawców — nie da się już zastosować do całej inteligencji, że cecha ta również zanika.”

Zanikanie różnic

„Proces zbliżania się pracy przeważnie umysłowej (gdź nie ma pracy umysłowej bez pracy fizycznej) i pracy przeważnie fizycznej (gdź nie ma pracy fizycznej bez umysłowej) — czytamy w artykule — ma podstawowe znaczenie dla zacierania się granic między klasą robotniczą a inteligencją. Decydującą rolę w tym procesie odgrywa postęp techniki, który kategorycznie wymaga eliminowania pracy mało wykwalifikowanej i mało wydajnej ciężkiej pracy fizycznej, podniesienia poziomu kwalifikacji i wiedzy robotników, ich zbliżenia do kulturowo-technicznego poziomu inteligencji”.

STEFAN ORYCKI

Zachodni mit powszechnego dobrobytu

Dokończenie ze str. 1

że los wielu rodzin farmerskich. — Zdaniem Harringtona — jądrosłipy aż 56 procent tych rodzin, pozbawione są jednego lub kilku ważnych dla zdrowia składników pokarmowych. Dzieje się to wtedy, gdy równocześnie magazyny pęcznią od tak zwanych nadwyżek żywnościowych. Oto jeden jeszcze z charakterystycznych rysów społeczeństwa, rzekomo powszechnego dobrobytu.

A oto „wyrównywanie dochodów” w świetle liczb. W 1910 roku w USA grupa najbogatszych ludzi, stanowiąca 0,3 procent ogółu obywateli kraju, zagarniała 56,4 procent wszystkich dochodów prywatnych. W pięćdziesiąt lat później — 57,4 procent. Dwadzieścia procent najbiedniejszych uzyskiwało w roku 1910 niecałe 3,5 procent ogółu dochodów prywatnych, natomiast w roku 1960 już tylko 1,1 procent.

Stosuje się w USA zresztą kruczki i fałszywe statystyczne, dla uzyskania materiału, ilustrującego tezę o rzekomym zrównywaniu dochodów. Polegają one na przykład na zaliczaniu do płac żołąd, wysokich uposażeń dyrektorów spółek i składek ubezpieczeniowych pracodawców.

Podobne praktyki stosuje się też w innych krajach kapitalistycznych. W Anglii: jeśli nie zaliczymy do płac żołąd, okaże się, iż udział upo-

sażeń w dochodzie narodowym był w 1944 roku niższy niż w 1911 roku. W NRF: w latach 1929—1960 udział płac w dochodzie narodowym wzrósł tylko o 1 procent. We Włoszech: najnowsze dane wskazują na utrzymującą się dysproporcję w dochodach, gdyż „górne” 10 procent społeczeństwa przechwytuje ponad jedną trzecią.

Jak sprawy te przedstawiają się we Francji, przypominał na XIII Plenum Artur Starewicz, cytując pracę nie marksistowskiego ekonomisty — G. Mathieu. Według tego autora, rozpiętość dochodów netto wyraża się we Francji skalą 1:400. Trzy (na 14) miliony rodzin francuskich, uzyskuje dochody na poziomie ostrego niedostatku.

Mimo więc „zjednoczonych wysiłków” burżuazyjnych ekonomistów, statystyków i propagandystów, szeroko reklamowane zmniejszanie się dochodów najbogatszych, przy równoczesnym wzroście dochodów najbiedniejszych — „nie chce” stać się faktem. „Powszechny dobrobyt”, pozostaje reklamowym sloganem Zachodu, nawet w odniesieniu do najbogatszych krajów tego obozu.

Bowiem, jak napisał w „Innej Ameryce” M. Harrington: „Postępowi (w USA — red.) w dziedzinie techniki, nie towarzyszy postęp społeczny”.

Wielkość gazet przynosi z okazji Dnia Nauczyciela publikacje poświęcone naszym pedagogom. Oprócz tradycją uświęconych artykułów na temat tego, co społeczeństwo oczekuje od nauczyciela i co jest podstawą jego rangi społecznej — znalazłem i takie publikacje, w których pisze się o tym, czego nauczyciel oczekuje od społeczeństwa. Mikołaj Kozakiewicz, załutłował artykuł na Dzień Nauczyciela (sobotnie „Życie Warszawy”):

CZEGO WINSZUJĄ SOBIE SOLENIZACJI

Na tle nowego programu dla 8-latk autor omawia potrzeby nauczycieli w zakresie wyposażenia bibliotek i pracowni w pomoce szkolne. By reforma spełniła swój cel, konieczny jest nie tylko rozsądniejszy niż dotychczas dobór lektury; warunkiem równie niezbędnym jest to, żeby szkoła miała w swojej bi-

bliotece książki należące do obowiązkowej lektury. Autor jest zdania, że w każdej szkole (mamy ich 20 tysięcy) powinno znaleźć się po około 10 egzemplarzy z każdego dzieła zalecanego przez program. Nowy program nauczania sprowadził szeroko ujęty dział zajęć praktyczno-technicznych. I w tym przypadku nie można zosiawić nauczyciela z gołymi rękami. Pedagogzy służnie oczekują znacznie lepszego niż dotychczas wyposażenia warsztatów szkolnych (pole do popisu między innymi dla komitetów opiekuńczych). Podobnie wygląda sprawa wyposażenia szkół w pomoce do wychowania estetycznego (nowy przedmiot). Trzeba więc zaopatrzyć wszystkie szkoły w adaptory lub magnetofony, stworzyć wielką płytotekę audycji szkolnych, zaopatrzyć wszystkie szkoły w projekторы i rzutniki, dostarczyć im zestawy filmów oświatowych. Tego wszystkiego w Dniu Nauczyciela pedagogzy oczekują bardziej od okolicznych laurek — stwierdza autor.

ICH DZIEŃ POWSZEDNI

W „Tygodniku Kulturalnym” znajdujemy dwie prace pisane przez nauczy-

Dawno nie zdarzyło mi się czytać równie pasjonującej, odważnej, choć tu i ówdzie budzącej również zastrzeżenia pracy, jaką dopiero wydane przez Wydawnictwo Poznańskie studium Jerzego Krasuskiego „Kulturkamp”, uzupełnionej w podtytule określeniem: katolicyzm i liberalizm w Niemczech XIX wieku. Jest to pierwsza w języku polskim monografia na ten temat; w dodatku w sposób z gruntu nowy w stosunku do poprzednich opracowań analizująca tak ważne wydarzenie zarówno dla Niemiec, jak i dla całej Europy ówczesnej. Krasuski, nie negując istnienia motywów osobistych w genezie i wybuchu kulturkampu, główną uwagę wskazuje zwraca na konieczności historyczne, nakazujące jednostkom dostosowywanie do nich swego postępowania. Szeroka, gruntowna analiza liberalizmu, konserwatyizmu i katolicyzmu politycznego zewala autorowi na wskazanie bardziej ważkich i decydujących przyczyn załargu państwa pruskiego z kościołem o hegemonię, załargu zresztą wcale nie pożądanego przez żadną ze stron. Dopiero analiza szerokiego tła historycznego i występujących tu specyficznych stosunków w Niemczech, umożliwia zrozumienie bardzo nieraz pogmatwanych dzieł kulturkampu pruskiego. Krasuski przeprowadza taką analizę w oparciu o olbrzymi zasób materiałów źródłowych, z kolei dochodząc do własnych, często zupełnie odmiennych od dotychczas reprezentowanych przez historię wniosków.

Drugą pracą o charakterze politycznym, opublikowaną przez Wydawnictwo Poznańskie, jest monografia Antoniego Czubińskiego „Centrolew”, podejmująca zagadnienie kształtowania się i rozwoju demokracji opozycji antysanacyjnej w Polsce od roku 1926, a więc od zamachu majowego, po rok 1930, załem już w przededniu słynnego procesu brzeskiego. Jest to pierwsza obszerna próba ukazania okresu życia polskiego, mającego szczególny wpływ na dalszą sytuację wewnętrzną w Polsce. Upadek Centrolewu wiąże się bowiem z umocnieniem systemu sanacyjnego, z utrwaleniem się rządów „pułkownikowskich” i wynikających z tego konsekwencji w polityce wewnętrznej i zagranicznej. Autor oparł się o możliwie dostępne źródła, o

Z KSIĄŻKA NA TY

Nareszcie ukazała się także w druku powieść-debiut Zbigniewa Kiwki, ko-

szalinianina, „Śmierć przychodzi nocą”. Jest to próba ukazania końcowej fazy walk o Wybrzeże, aż po szurm Kołobrzegu — oczyma niemieckimi. Książka jest napisana z zacięciem, rzadko można się spotkać z tak dojrzałym debiutem. Kivka czuje walor stopniowania napięcia dramatycznego, zagląda także we wnętrza ludzkie. Książkę tę można wróżyć pełne powodzenie.

I jeszcze kilka „scandinavianów”. „Kraj białych dramatów” Oivinda Bolstadta, to w konwencji sagi skreślona dramatyczna, nie pozbawiona przy tym liryzmu opowieść o dziejach ludzi na Grenlandii poprzez minione tysiąclecie. Bardzo wzruszająca i ujmująca książka. A obok ukazało się kolejne wznowienie świetnej trylogii Trygve Gulbrandsena, zebrane w dwóch tomach „A lasy wiecznie śpiąją” i „Dziedzictwo na Brjrdal”. To też jakby saga chłopskiego losu norweskiej rodziny, ukazana na przestrzeni wielu pokoleń.

„Ze spisu ludności przeprowadzonego w 1959 roku wynika — pisze dalej Rutkiewicz — że na 1000 mieszkańców przypadały następujące liczby osób z wykształceniem średnim: wśród pracowników handlu, zaopatrzenia i zbytu (zaliczanych do kategorii pracowników umysłowych) — 737; wśród pracowników przedsiębiorstw usługowych (również zaliczanych w poczet pracowników umysłowych) — 561; dla frezerów wskaźnik ten wynosi 683, dla modelarzy — 690, dla tokarzy — 667, dla maszynistów elektrowozów — 627, dla motorniczych tramwajów, metra, trolejbusów — 691 itd.”

Po wtóre, przy badaniu kulturowo-technicznego poziomu klasy robotniczej i inteligencji należy, zdaniem autora, uwzględnić fakt, że poziom inteligencji także nie pozostaje niezmienny. Robotnicy muszą w drodze szybkiego podnoszenia poziomu wykształcenia ogólnego i zawodowego jak gdyby „doganiać” idącą naprzód inteligencję.

Inteligencja nie jest zamkniętą grupą

Powyższe stwierdzenie znajdujemy w ostatniej części studium Rutkiewicza, który polemizuje z tezami burżuazyjnymi na temat zasilania szeregów inteligencji.

Eugeniusz Paukszt

Spod znaczka Starego Ratusza

ówczesną prasę, o wypowiedzi bezpośrednich uczestników wydarzeń, stwarzając w sumie szeroki, panoramiczny, zarazem jednak zwarty obraz pewnego okresu życia polskiego.

A teraz nieco z nowości prozy beletrystycznej, wydanej przez poznańską oficynę. Bogusław Kogut ogłosił nową powieść pt. „Kalina”, do-

osadzony mocno w realiach utworu obyczajowy, zwarty w konstrukcji dramatycznej. Jest tam i sporo obserwacji psychologicznych, zwłaszcza tych dotyczących środowiska wiejskiego, podanych bezpośrednio i z dużą dozą szczerości. Można by też doszukiwać się w książce sporego ładunku autobiograficznego, ale — po pierwsze — nie to jest najważniejsze, a po drugie — właściwie u żadnego pisarza nie spotka się utworu, w którym autobiografia w jakiś sposób by nie występowała.

Nareszcie ukazała się także w druku powieść-debiut Zbigniewa Kiwki, ko-

szalinianina, „Śmierć przychodzi nocą”. Jest to próba ukazania końcowej fazy walk o Wybrzeże, aż po szurm Kołobrzegu — oczyma niemieckimi. Książka jest napisana z zacięciem, rzadko można się spotkać z tak dojrzałym debiutem. Kivka czuje walor stopniowania napięcia dramatycznego, zagląda także we wnętrza ludzkie. Książkę tę można wróżyć pełne powodzenie.

I jeszcze kilka „scandinavianów”. „Kraj białych dramatów” Oivinda Bolstadta, to w konwencji sagi skreślona dramatyczna, nie pozbawiona przy tym liryzmu opowieść o dziejach ludzi na Grenlandii poprzez minione tysiąclecie. Bardzo wzruszająca i ujmująca książka. A obok ukazało się kolejne wznowienie świetnej trylogii Trygve Gulbrandsena, zebrane w dwóch tomach „A lasy wiecznie śpiąją” i „Dziedzictwo na Brjrdal”. To też jakby saga chłopskiego losu norweskiej rodziny, ukazana na przestrzeni wielu pokoleń.

„W socjologii burżuazyjnej — pisze autor — problem ten traktowany jest zazwyczaj jako jeden z podstawowych aspektów tzw. mobilności społecznej”; chodzi tu mianowicie o przechodzenie z niższych warstw społecznych do wyższych. Spotkać się można częstokroć z twierdzeniem, że społeczeństwo radzieckie jest wzorem „sztywnej” struktury (ponieważ przejście z jednej warstw do innej jest tu rzekomo bardzo trudne), podczas gdy struktura społeczeństwa burżuazyjnego jest „elastyczna”.

„Twierdzenie to — podkreśla Rutkiewicz — jest z gruntu kłamliwe. Do radzieckiego społeczeństwa socjalistycznego nie da się w ogóle zastosować pojęcie „niższych” i „wyższych” klas lub warstw społecznych. Jeśli zaś chodzi o możliwości przejścia z jednej z realnie istniejących jeszcze klas i grup społecznych do innej, m. in. z klasy robotniczej (i chłopstwa) do inteligencji, to są one bez porównania większe niż w którymkolwiek z krajów zachodnich.”

Przedmiotem badań socjologii marksistowskiej mogą być tylko masowe przejścia z jednej warstwy społecznej do innej i ich możliwości, nie zaś przypadkowe i odosobnione przypadki przejścia z jednej klasy do innej.

Opracował: (tk)



Wielkość gazet przynosi z okazji Dnia Nauczyciela publikacje poświęcone naszym pedagogom. Oprócz tradycją uświęconych artykułów na temat tego, co społeczeństwo oczekuje od nauczyciela i co jest podstawą jego rangi społecznej — znalazłem i takie publikacje, w których pisze się o tym, czego nauczyciel oczekuje od społeczeństwa. Mikołaj Kozakiewicz, załutłował artykuł na Dzień Nauczyciela (sobotnie „Życie Warszawy”):

CZEGO WINSZUJĄ SOBIE SOLENIZACJI

Na tle nowego programu dla 8-latk autor omawia potrzeby nauczycieli w zakresie wyposażenia bibliotek i pracowni w pomoce szkolne. By reforma spełniła swój cel, konieczny jest nie tylko rozsądniejszy niż dotychczas dobór lektury; warunkiem równie niezbędnym jest to, żeby szkoła miała w swojej bi-

bliotece książki należące do obowiązkowej lektury. Autor jest zdania, że w każdej szkole (mamy ich 20 tysięcy) powinno znaleźć się po około 10 egzemplarzy z każdego dzieła zalecanego przez program. Nowy program nauczania sprowadził szeroko ujęty dział zajęć praktyczno-technicznych. I w tym przypadku nie można zosiawić nauczyciela z gołymi rękami. Pedagogzy służnie oczekują znacznie lepszego niż dotychczas wyposażenia warsztatów szkolnych (pole do popisu między innymi dla komitetów opiekuńczych). Podobnie wygląda sprawa wyposażenia szkół w pomoce do wychowania estetycznego (nowy przedmiot). Trzeba więc zaopatrzyć wszystkie szkoły w adaptory lub magnetofony, stworzyć wielką płytotekę audycji szkolnych, zaopatrzyć wszystkie szkoły w projekторы i rzutniki, dostarczyć im zestawy filmów oświatowych. Tego wszystkiego w Dniu Nauczyciela pedagogzy oczekują bardziej od okolicznych laurek — stwierdza autor.

ICH DZIEŃ POWSZEDNI

W „Tygodniku Kulturalnym” znajdujemy dwie prace pisane przez nauczy-

cieli zimą 1962 roku na konkurs pt. „Jeden miesiąc mojego życia”. Mówią one o dniu powszednim nauczyciela, często mozolnym, niefatnym. Oto dwa fragmenty tych pamiętników:

„Dwóch chłopców z klasy II przyszło prosić żeby im obciąć bardzo długie włosy. Mam szkolną maszynkę. Czyż się to nie jest na tej wsi — i stolarzem, i zdunem, malarzem, fryzjerem itd. „Mus rodzi talenty”. Konieczność zmusza człowieka do każdej pracy. Politechniczka.”

„Stosunek ucznia do wychowawcy, który nie zna i nie widzi tego, o czym już wie jego wychowanek, może ulec poważnej zmianie, oczywiście na niekorzyść nauczyciela. Tak oto kiedyś (jeszcze nie dziś, ale kiedyś, powiadam) może się zemiścić głupi fakt, że nauczyciela nie stać na kupno telewizora, który staje się chlebem powszednim jego wychowanków. (Mam tu jednak na myśli nauczyciela żyjącego wyłącznie z pensji, tj. jednego etatu, ale z drugiej strony wiadomo, że taki właśnie okaz jest organem szczałkowym w tym środowisku, gatunkiem na wymarcie).”

SÓL ZIEMI, CHLEB Z ZIEMI

Pod takim tytułem „Polityka” zamieszcza obszerna rozmowa z wiceprezsem Rady Ministrów prof. dr. Stefanem Ignarem. Wywiad poświęcony jest rozwojo-

wi rolnictwa, plonom, efektem pracy rolnika oraz — co nas szczególnie zainteresowało — kwestii wzajemnego stosunku powstających nowych obiektów przemysłowych i struktury rolnej otaczających je regionów. Wicepremier Ignar wypowiada taką opinię:

„W wypadku budowania wielkich zakładów przemysłowych w rejonie, który dotychczas był rejonem rolniczym (np. Konin, Płock, Puławy) powinno się opracowywać wspólny plan zagospodarowania i inwestycji (oczywiście wiódące są inwestycje przemysłowe), jakie konieczne będą w tym kontekście (...). Jeżeli planowanie przemysłu i rolnictwa umiemy się łączyć — rolnictwo będzie się dźwigało pod wpływem przemysłu. Przemysł może oddziaływać pozytywnie na przemiany rolnictwa, teraz zaś oddziaływa w pewnym zakresie negatywnie. Należałoby zaangażować do pracy w przemyśle przede wszystkim istniejące nadwyżki siły roboczej tam, gdzie one występują. Jeśli ktoś mieszka np. w odległości 25 km od budowanego obiektu przemysłowego, do którego chciałby się zaangażować i posiada własność nie większą niż 2 ha ziemi — można by mu zaproponować działkę, pożyczkę na budowę domu, sprzedaż jego dotychczasowego gospodarstwa i przeprowadzenie się. Obecnie natomiast buduje się awaryjne osiedla dla robotników przyby-

wających na budowy, których nikt nie pyta skąd przychodzą. Dzieje się tak na „Petrobudowie”, w Nowej Hucie i w innych ośrodkach. I tak rozbudowa Nowej Huty dezorganizuje rolnictwo Miechowa i Proszowice, powiatów rolniczych o najwyższym poziomie produkcji i średniorolnej, strukturze gospodarstw. Jesteśmy mocno przecięci tą sprawą.”

LEKARSTWO NA GRYPE

Edward Wojewódzki na łamach „Stu-

by Zdrowia” postuluje stosowanie u nas szczepionki przeciwko grypie — choroby, która powoduje co roku duże straty ekonomiczne (w 1962 roku koszty absencji chorobowej spowodowanej grypą wyniosły około 1,5 mld. zł) i straty moralne, trudne do określenia jakimkolwiek wskaźnikiem. Szczepionki tej nie stosuje się dotychczas, bo ponoć trudno określić okres występowania epidemii grypy w naszym kraju (autor wykazuje w oparciu o bogaty materiał statystyczny iż tak nie jest) i dlatego, że skuteczność szczepionki określa się tylko ko na 50 procent. Publicysta uważa, że nawet przy takiej skuteczności szczepionki opłaca się i warto przeciwdziałać epidemii grypy, uznawanej dotychczas za zrządzenie losu.

LEKTOR